

ARTUR
DOMOSŁAWSKI

GORĄCZKA

LATYNOAMERYKAŃSKA



GORĄCZKA

LATYNOAMERYKAŃSKA

**ARTUR
DOMOSŁAWSKI**

GORĄCZKA

LATYNOAMERYKAŃSKA

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Maria Konopka-Wichrowska

Redakcja techniczna
Julita Czachorowska

Korekta
Zofia Firek
Grażyna Brzezińska

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Copyright © by Artur Domosławski 2004

Niektóre teksty lub ich fragmenty były publikowane na łamach „Gazety Wyborczej”
Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2011

Wydanie II poprawione

Świat Książki
Warszawa 2011

Weltbild Polska Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa

ISBN 978-83-7799-145-9
Nr 90451469

Spis treści

Z Hawany (1)	9
Miniatura I (Carlos Fuentes)	17
Fidel (1)	19
Dzieje Rewolucji przez Pío Serrano opowiedziane (1)	34
Z Hawany (2)	40
Fidel (2)	46
Z Hawany (3)	53
Fidel (3)	57
Dzieje Rewolucji przez Pío Serrano opowiedziane (2)	60
Miniatura II (mit Kuby)	67
Z Hawany (4)	69
Miniatura III (Jorge G. Castañeda)	73
Jesień partyzantów	75
Miniatura IV (kardynał Paulo Evaristo Arns)	95
Święty, wyklęty (dom Hélder Câmara)	98
Miniatura V (aresztowanie Pinocheta)	111
Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (1)	115
Opowieść jednego wygnańca (1)	131
Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (2)	140
Opowieść jednego wygnańca (2)	147
Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (3)	155
Opowieść jednego wygnańca (3)	158

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (4)	164
Opowieść jednego wygnańca (4)	171
Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (5)	174
Miniatura VI (<i>desaparecido</i>)	182
„Zniknięci” (1)	183
Miniatura VII (inny, czyli wróg)	186
„Zniknięci” (2)	194
Miniatura VIII (terroryzm państwowy)	198
„Zniknięci” (3)	200
Miniatura IX (nazi-junta)	206
Noc ołówków	208
Miniatura X (po dyktaturze)	224
Czarna księga antykomunizmu (USA wobec Ameryki Łacińskiej) ..	226
Miniatura XI (postantyjankesizm)	242
Inna rzeka, inna bajka (polityczne przypadki Gabriela Garcii Marqueza)	244
Miniatura XII (Enrique Krauze)	258
PRI-tanic zatonął	260
Miniatura XIII (Polska w Meksyku)	270
Chirurgia bez anestezjologa. Dzieje pewnego eksperymentu (1) ...	273
Miniatura XIV (od utopii do utopii)	289
Chirurgia bez anestezjologa. Dzieje pewnego eksperymentu (2) ...	291
Miniatura XV („idiota latynoamerykański”)	300
Opowieści Rio de Janeiro	302
Miniatura XVI („kolumbizacja”)	321
Czas Apokalipsy – sceny kolumbijskie (1)	322
Krótką kroniką kolumbijskiej przemocy	326
Czas Apokalipsy – sceny kolumbijskie (2)	337
Miniatura XVII (guevaromania – 1)	352
Relikwie świętego partyzanta (1)	354
Miniatura XVIII (guevaromania – 2)	363
Relikwie świętego partyzanta (2)	365

Miniatura XIX (bankructwo dogmatów)	375
Marcos	377
Miniatura XX (koniec rewolucji)	386
Mesjasz na Karaibach: Hugo Chávez	387
Miniatura XXI (modlitwa za świat)	408
Nowe szaty radykała: Lula	410
Precz wszyscy! Argentyńska gorączka (1)	419
Miniatura XXII (a gdy wyczerpie się gniew...)	424
Precz wszyscy! Argentyńska gorączka (2)	428
Wybrana bibliografia	435

Z Hawany (1)

– U nas nawet prostytutki mają wykształcenie uniwersyteckie.

Kiedy robił rewolucję, mówił, że Kuba, nasza Kuba, wolna Kuba, nie będzie więcej burdelem Jankesów, a pół wieku później, w ciemnych uliczkach centrum blisko starej Hawany, dziewczyny z wyższym wykształceniem łąpały za spodnie, gotowe za dwadzieścia baksów, nawet za dziesiątaka, tylko dlatego, że wyglądam na *gringo* i mógłbym lekką ręką odpalić z półtorej kubańskiej pensji.

Hawana czasów Fidela to burdel, jakiego świat nie widział!

A na bulwarze Obispo to dopiero przedstawienie – ze światłami, bo tam latarnie, które na dodatek dawały światło, a to wcale nieoczywiste, że jak latarnia, to zaraz światło. Dziewczyny głośno cmokały na cudzoziemców, patrząc zazdrośnie na te, które już sobie wycmokały towarzystwo brzuchatych, podstarzałych turystów.

Seks z wyższym wykształceniem. Nawet o van Dycku można pogadać. I o rosyjskich klasykach. Wiedza na wyspie Fidela Castro nie szła na marne. Żyć nie umierać, *cuba libre*, *buena vista social club*, i co-tam-jeszcze-kto-chce! Dopiero tam na człowieka spływała wiara w wyższość Rewolucji Kubańskiej. Nad czym? Nad czymkolwiek.

To o dziewczynkach i wykształceniu Brodacz naopowiadał amerykańskiemu reżyserowi Olivierowi Stone'owi. Przyczynę do tego, żeby ostatni etap Rewolucji opisywać jako stadium sklerozy.

„Rewolucja w czasach sklerozy” – tak powinien się nazywać ten rozdział moich notatek.

Wszyscy robili swoje: ludzie czekali w porannej spiekocie na trzystuosobowy autobus, zwany z powodu dwugarbnej przyczepy „wielbłądem”; zagraniczni turyści snuli się po starej Hawanie; rząd czuwał nad Rewolucją. Po robocie na państwowym – ci z autobusu mieli wreszcie czas na kombinowanie, bo bez kombinowania nijak przeżyć; a rząd czuwał, żeby mieli spokój. W wieczornej audycji telewizyjnej eleganczy, nieco melancholijni panowie, jak co dzień, rozdeptywali „robactwo z Miami i Waszyngtonu”. Śladem porannej „Granmy” niepokoił się bezrobociem w Niemczech, mrozami w Moskwie, terrorem państwowym w Bangladeszu i strajkami w Gwatemali.

Nic nie zapowiadało burzy. Nie zbierały się chmury.

Ósmego marca dwutysięcznego trzeciego roku Fidel Castro wziął udział w inauguracji konwentu sióstr zakonnych pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela. W obecności nuncjusza Stolicy Apostolskiej matka Tekla wręczyła Komendantowi Rewolucji Krzyż Ekumeniczny z gwiazdą Świętej Brygidy, patronki zakonu. Zapewniła Komendanta o modlitwach sióstr za niego i za lud kubański. Papież Jan Paweł II przesłał na ręce Fidela list, w którym ciepło wspomniął wizytę na wyspie w dziewięćdziesiątym ósmym. Siostra Tekla zapewniła Fidela, że Ojciec Święty miłuje go z całego serca, a Fidel poprosił o przekazanie Papieżowi podziękowań za jego wielką miłość.

Gdy trzy lata wcześniej po raz pierwszy wylądowałem na wyspie, Castro miał usta pełne Papieża. W Hawanie odbywał się zjazd międzynarodowej organizacji studenckiej. Przyjechało ponad siedmiuset studentów ze Stanów Zjednoczonych. Fidel odegrał przed nimi *show* w Pałacu Zjazdów.

Powtarzał:

„Jak uczy papież Jan Paweł II...”,

„Jak powiedział Papież...”,

„Papież przypomina...”

W drugiej części zdania za każdym razem padało coś o „solidarności z ubogimi”, „amerykańskiej blokadzie Kuby”, „krwiożerczym neoliberalizmie”. Słowa Papieża były słowami Fidela. Castro obwieszczał w ten sposób, jakiego to sojusznika ma w walce z krwiożerczym kapitalizmem i podłą Ameryką.

Do wiary katolickiej wolno się było na Kubie przyznawać od osiemdziesiątego piątego, kiedy to wódz Rewolucji ogłosił wywiad-rzekę z brazylijskim dominikaninem-rewolucjonistą bratem Betto, *Fidel y la religion*

(Fidel i religia). Od tamtej pory chodzenie do kościoła, choć niemile widziane, tolerowano. Po wizycie Papieża Castro zrobił kolejny krok: ogłosił, że nie ma sprzeczności między chodzeniem do kościoła i należeniem do Komunistycznej Partii Kuby. Z podróży po wyspie w roku dwutysięcznym została mi w pamięci gigantyczna szopka bożonarodzeniowa wystawiona na zabytkowym placu u wrót wspaniałej hawańskiej katedry, w sercu stolicy.

Tak oto po raz pierwszy w porewolucyjnej historii Kuby święto kościelne było dniem wolnym od pracy; młodzież z Ameryki tłumnie gościła na wyspie; a Fidel cytował zagranicznym studentom słowa Jana Pawła II.

Był w świetnej formie. Sypał dowcipami, za co amerykańscy studenci odpłacali mu gromkimi oklaskami. Żywioł Fidela: wódz i masy, mistrz i uczniowie.

– Mój przyjaciel Gabriel García Márquez mówi, że jedno jest pewne: nigdy nie umrę na raka prostaty... (Owacje, oklaski, papierowe chorągiewki. Fidel uśmiecha się łobuzersko, ma w oczach błysk, którego trudno nie kupić) ...bo mimo swoich lat potrafię mówić pięć, sześć, osiem godzin bez wychodzenia... (Fidel! Fidel!)

Trzy lata po tamtym występie za Krzyż Świętej Brygidy dziękował matce Tekli starzec o drżącym i chrypiącym głosie. – Różnie z nim bywa – opowiadała mi później znajoma Kubanka. – Raz wygląda jak ciągle jurny byczek (śmiech), innym razem jak gdyby miał za chwilę przewrócić się i skonać.

Zdrowie Komendanta było niczym gra w kości.

Nie tylko zdrowie. Gdy osiemnastego marca wieczorem smutni panowie w telewizji rozdeptywali słowami Jamesa Casona, szefa Sekcji Interesów USA w Hawanie, mało kto przypuszczał, że to przygrywka do czegoś więcej. Że zbierają się chmury i nadciąga polityczny huragan. Tamtego wieczoru szefa amerykańskiej Sekcji oskarżono o to, że finansował „zdrajców Rewolucji” i kubańskich „ślugusów imperium”; że zapraszał do swojej siedziby „niezależnych dziennikarzy”; że nie informował kubańskiego ministerstwa spraw zagranicznych o wyjazdach poza Hawanę (wymóg postawiony Amerykanom w umowie o powołaniu Sekcji z roku siedemdziesiątego dziewiątego); i że przejechał w ciągu roku po wyspie sześć tysięcy mil – skandal!

W tym samym czasie, gdy w telewizji nadawano na żywo program o Casonie, bezpieka wyciągała z domów działaczy antyfidelowej opozycji. Pierwszego wieczoru wyciągnięto około pięćdziesięciu. Następnego –

dwudziestu ośmiu. Dwa tygodnie później zapadły pierwsze wyroki – dwadzieścia osiem lat więzienia, dwadzieścia lat więzienia, piętnaście... Dla kilkunastu skazanych prokurator żądał dożywocia; dla jednego – kary śmierci.

Dopiero tamtego dnia pojąłem słowa Javiera, starego rewolucjonisty, funkcjonariusza Partii i Wysokiego Urzędu Państwowego, wierzącego fideisty, który z wodzem Rewolucji był jeszcze w czasach, kiedy nie dostało się za to medali, lecz groziły tortury, więzienie, cicha śmierć w zaułkach Hawany albo Santiago de Cuba. – Mamy dowody – przekonywał mnie Javier – że amerykańska Sekcja finansuje opozycję. Jakie dowody, gdzie? – Widziałem nagranie – Javier ciągnął spokojnie i pewny swego – na którym pan Cason wręcza pieniądze Oswaldowi Pai [najbardziej znanemu opozycjonistcie]. Bądź spokojny, jak przyjdzie czas, pokażemy dowody.

Czas przyszedł dwa dni po moim wyjeździe z Hawany. Reżim pokazał dziennikarzom nagranie, na którym Cason mówi o wspieraniu przez Stany Zjednoczone opozycji na Kubie i funduszach na ten cel.

Zanim Javier nalał rum, zanim w ogóle o nim usłyszałem, była Hawana. Właściwie to najpierw było marzenie o Hawanie. Irracjonalnie silne, nawet namiętne, dzisiaj myślę, że do granic śmieszności. W różne miejsca trafiałem dużo wcześniej, spędziłem kilka miesięcy w Brazylii, byłem w Argentynie, otarłem się o Paragwaj, z Meksyku nadawałem korespondencje dla gazety, gdy upadała najdziwniejsza na świecie półdyktatura... A do Hawany jakoś trafić nie mogłem, zawsze piętrzyły się przeszkody. Ten brak rekompensowałem sobie lekturami. Najpierw wyczytałem wszystko, co mnie interesowało po polsku, potem od znajomego profesora pożyczałem niedostępne w bibliotekach książki po angielsku i zamawiałem przez Internet – wszystko co mieli dobrego. Znosiłem do domu opasłe tomy z księgarni hiszpańskiej, w której Madeleine, uciekinierka z Kuby, podsuwała mi coraz to nowe tomiska, podsycała zaciekawienie wyspą.

Na Kubę przyleciałem wykuty jak na jakiś cholerny egzamin. Naprawdę mało co mnie dziwiło. Ani to, że aby wjechać do rewolucyjnego raju, trzeba było wprawdzie odbyć długą rozmowę z mundurowym służbistą, który groźnym spojrzeniem prześwietlał stosunek człowieka do Rewolucji. Ani to, że za wózek na lotnisku trzeba było zapłacić dolara. Ani że dla cudzoziemców było wszystko, a dla Kubańczyków nic.

Za drugim razem, gdy przyleciałem do Hawany, nie chcieli mnie wpuścić. Przetrzęsali wszystko, notowali tytuły gazet, jakie wiozłem z Caracas, a nawet tytuły poszczególnych artykułów, wypytywali, o czym piszę, a potem chodzili meldować ubekowi w cywilnym ubraniu. Gdyby nie interwencja kolegi z ambasady, Tomka Wodzyńskiego, odesłaliby mnie z powrotem. Straciłbym czas, pieniądze, a przede wszystkim nie poznałbym Javiera fidelisty, i nie spotkałbym paru ważnych dla mojej opowieści osób.

Lecz zanim zjawił się Javier, była Hawana po raz pierwszy, bez Javiera, i to, że mało co mnie dziwiło. Mało co – z wyjątkiem samego miasta. Człowiek ogląda albumy, filmy, słucha na okrągło muzyki z Buena Vista Social Club, która podbiła Amerykę i Europę, ale nie ma o niczym pojęcia, dopóki nie dotknie ziemi, nie poczuje zapachu powietrza, nie zobaczy naprawdę rozpadającego się miasta. Tak, rozpadającego się, rozkładającego się, gnijącego, cuchnącego spalinami i ściekami, złamanego, przetrąconego, ale gdzieś w środku ciągle tłętego się żarem ludzi, którzy tam mieszkają; godnością, jaką w sobie noszą.

Hawana umierała. Właściwie czekała, aż umrze Brodacza, ale po trochu gasła razem z nim. Ciągle było znać ślady przeszłości, chciałem napisać „znakomitej przeszłości”, lecz wiem, że znakomita nie była. Gdyby była, nie byłoby Brodacza, nie byłoby tego wszystkiego, i pewnie nie byłoby tam również mnie.

Przeszłość Hawany dawała o sobie znać na każdym kroku. W architektonicznym detalu: romantycznym balkoniku, wysmakowanym łuczku, doskonałej bryle – i nagromadzeniu tych perełek, niezwyklej ich obfitości, niemal orgii. Przeszłość była zapisana w jankeskich samochodach z lat czterdziestych, które jakimś nieznanym prawem techniki wciąż śmigały po szosach. Przeszłość była w opowieściach ludzi. Ale ta przeszłość, która niepielęgnowana przetrwała pół wieku rządów Brodacza, teraz gasła. Balkoniki trzeszczały, z łuczków i ścian odpadał tynk, bryła się kruszyła, a instalacje elektryczne samochodów wilgotniały w czasie deszczu i dumne niegdyś cryslery, buicki musiały robić przymusowy postój, aż przestanie padać.

Nie gasli tylko ludzie, to znaczy niektórzy zgasli, jeszcze o nich napiszę, ale większość nauczyła się żyć w tym gnijącym świecie, który – tak przynajmniej wierzyli – ciągle miał przyszłość. Ale dopiero po śmierci Brodacza (*El Barbudo*), Starca (*El Viejo*), Szaleńca (*El Loco*).

To on zamienił Hawanę w slums. Mówią, że zniemawidził miasto. Hawana była siedliskiem rozpusty, burdelem *gringos*, gniazdem zamożnej

elity. Po Rewolucji Brodacz postanowił zemścić się na mieście i zostawił je na pastwę czasu. Dopiero gdy bieda przycisnęła i uchylił na wyspie lućcik dla turystów, kazał odnowić stare miasto, bo cudzoziemcy, bo dolary, bo szpan, bo szyk. Ale to tak jakby w domu wyremontować salon, a wokół zostawić gruzy. Nie, stare miasto nie było w stanie zasłonić rozpadu, procesów gnilnych, zapachu końca.

Teraz myślę, że to chyba aura dekadencji, upadku, ostatniej godziny ekscytowała mnie w Hawanie najbardziej. Lubilem sobie wyobrazać, że jestem kronikarzem upadającego świata, kronikarzem, który dostał nie-wiadomo-skąd wiadomość o nadchodzącym finale i miał jeszcze czas na zrobienie ostatnich fotografii i notatek. Wiedziałem, że ten świat zniknie już za chwilę i nigdy nie wróci. Chyba wszyscy to przeczuwali. Myślę, że przeczuwał to nawet Javier, i jak gdyby chcąc odwlec wykonanie wyroku, który dawno zapadł, próbował zagadać to, co wkrótce miało nadejść.

Musiał coś wiedzieć o aresztowaniach. Może bez szczegółów, w bezpiecie chyba nie dorabiał, ale coś wiedział na pewno. Tamtego wietrznego wieczoru, kiedy gawędziliśmy przy podłym, ciepłym rumie w skromnym domku w centrum Hawany (żadnych szczegółów, jesteś znajomym, nie dziennikarzem) wziąłem jego słowa o „dowodach” przeciwko antycastrowskiej opozycji za propagandowe bajki wiernego fideisty. Bo Javier był wierny i niewzruszony jak skała. Na skałach takich jak on Fidel wznosił rewolucyjny „kościół”.

– Javier – klóciłem się – ludzie żebrzą, wyciągają ręce po cukierki, ciastka, długopisy, stare buty; Kubę zalewają czarne dolary, chcesz powiedzieć, że to wszystko przez amerykańskie embargo? – Przepraszam – powiedział Javier – o „embargu” mówicie wy; my mówimy „blokada”. Nie, nie chcemy, żeby Kubę zalały dolary. – Więc protestujesz, Javier, przeciwko blokadzie, tak? – To oczywiste. – I Fidel też jest przeciwko blokadzie? – Nie może być inaczej. – No, ale jeśli Amerykanie zniosą blokadę, to dopiero zaleją was dolary! Javier macha ręką na znak protestu. – Nie, nie, nas dolary nie zaleją, my mamy idee. – Jakie idee, dolary już was zalały, nie widzisz? I tak w kółko.

Javier przyznał się, że zarabia trzysta dziewięćdziesiąt peso, niecałe piętnaście dolarów. Oblicza na głos miesięczne wydatki: dwanaście *peso* – prąd, dziewięć *peso* – woda, piętnaście *peso* – telefon, trzy *peso* – na Komitet

Obrony Rewolucji... Dobra, powiedzmy, że dodając inne wydatki, będzie tego sto *peso*. Reszta idzie na jedzenie, papierosy, a jak nie starcza nam jedzenia na „książeczkę” (kubański odpowiednik wschodnioeuropejskich kartek), dokupujemy na targu – bez reglamentacji, i drożej. Konkluzja: z pensji można żyć, nie luksusowo, ale nieźle.

– Nie mogę tego słuchać – do rozmowy włącza się żona Javiera. – Powiedziałbyś, ile na papierosy wydajesz! Javier palił zagraniczne, później sprawdziłem i wyszło, że pensji w *peso* starczało mu na same papierosy. W toalecie zauważyłem męskie kosmetyki znanej francuskiej firmy – następna pensja. Z czego żyje Javier? Jak tu żyć, skoro nawet wierni janczary Rewolucji nie mają na podstawowe potrzeby życiowe? Potem udało mi się dowiedzieć, że tak jak większość Kubańczyków, również Javier żył nie z pensji, lecz z dwustu dolarów, które co miesiąc wpadały mu do kieszeni z pewnego nieopodatkowanego procederu. Mistrzostwo hipokryzji!

– Javier – nie dawałem za wygraną – widziałem w Starej Hawanie kamienicę, która z zewnątrz wyglądała w miarę czysto, ale mieszkanie w środku było gorsze od izdebek, jakie widziałem w slumsach Rio de Janeiro: kobieta z mężem i czwórką dzieci w ciemnej norze, jakieś siedem–osiem metrów kwadratowych, bez bieżącej wody (wodę dowoziły cysterne, rury w starej Hawanie nie były wymieniane od kilku dekad); w kącie trzeszczał stary mini-televizor, dzieciaki wyciągają ręce po cukierki; na środku jedyne „pokoju” barłóg, na którym spała cała szóstka. Strach wyobrazić sobie robactwo, jakie musi się tam gnieździć...

– Takich miejsc w Hawanie nie ma! – uciął Javier – chciałbym zobaczyć, gdzie to widziałeś! W starej Hawanie? Niemożliwe! A czy zapytałeś, z czego żyje ta kobieta? – Z turystów – odpowiedziałem – jak ktoś rzuci grosz, to coś mają. Jej mąż błagał mnie o rozpadające się sandały, ale nie oddałem, to były jedyne moje buty przydatne w hawańskie upały. – Powiem ci coś – Javier znalazł nagle wyjaśnienie – jeśli ona żyje z turystów, to gwarantuję ci, że zarabia więcej niż ja. – Ależ Javier... to ona żyje w slumsie, nie ty, to ona nie ma co jeść... – Nie, nie, nie! Ty nie wiesz, ale na Kubie są ludzie, którym nie chce się pracować, ona ma na pewno każde dziecko z innym facetem.

Odpuściłem. Z rozumowania Javiera wychodziło, że to leniwa kurwa, i dobrze jej tak.

– Owszem, są problemy, jak w każdym kraju – po kolejnej szklaneczce rumu Javier rozluźnił się. – Ja wcale nie mówię, że nasz system jest najlep-

szy, on jest najlepszy w sensie społecznym! U was jest „demokracja”, ale w cudzysłowie. Co to za demokracja, jeśli prezydenta wybiera się co cztery lata, jeśli po czterech latach można go odwołać? – Ale u was – zauważam nieśmiało – prezydenta w ogóle nie da się odwołać... Javier nie zwraca uwagi na te burżuazyjne złośliwości i ciągnie swoje: – Spójrz, taki prezydent jak u was poświęca cztery lata, żeby się wzbogacić i co robi? Kradnie! Wy macie pięć, dziesięć, dwadzieścia partii, ale wszystkie są za kapitalizmem. Co to za demokracja?

– A czy na Kubie jest opozycja? – udawałem Greka. Po chwili namysłu: – Tak, oczywiście – odpowiedział niechętnie Javier – zebrali nawet dziesięć tysięcy podpisów pod projektem, żeby były wielopartyjne wybory. A przecież na Kubie są demokratyczne wybory! Nie chcesz, nie głosujesz. Nie chcesz iść demonstrować za Rewolucją na Maleconie (główny bulwar w Hawanie ciągnący się wzdłuż oceanu), to nie idziesz. A zresztą, co to jest dziesięć tysięcy podpisów? Część sfalszowali, a jeśli nawet, to i tak to mniej niż jedna tysięczna z jedenastu milionów Kubańczyków.

Javier zatroskał się nad światem: – Wiem – przyznał – że na globalną rewolucję nie ma dobrej pogody. Ale ja się o Kubę nie martwię, u nas Rewolucja nie upadnie. Rewolucja jest jak Słońce. Gdy w nie patrzysz, nie widzisz plam. One nie są istotne. Bo Słońce grzeje i daje życie. I młode pokolenie w Rewolucję wierzy. Będzie kontynuacja.

Przypomniała mi się scenka z konferencji prasowej Castro – tuż przed wizytą Władimira Putina, który jako pierwszy rosyjski przywódca po upadku Ojczyzny Proletariatu przyjechał na wyspę. Jakiś dziennikarz spytał wodza Rewolucji, jak będzie wyglądała Kuba „w epoce po Castro”. Fidel zrobił zdziwioną minę, a po chwili ruszył na żurnalistę, jak zraniony byk. – Czy pyta mnie pan, kiedy umrę? Niech się pan tak nie spieszy. Nie będzie żadnej „epoki po Castro”. Rewolucja wychowała nowe pokolenie... – tu wskazał na dwóch młodszych ministrów swojego rządu.

Nowe pokolenie! Dzieci Javiera też uwierzyły w Rewolucję. Tak bardzo, że przeprowadziły się za granicę. Żona Javiera szepnęła mi, że sam ojciec tak im doradził.

Miniatura I

(Carlos Fuentes)

Dawno przestał wierzyć w Rewolucję. Zawsze jest tak samo: najpierw precz z tyranią i korupcją, wiwat wszystkie stany, a potem nocne pukanie do drzwi, szcęk karabinu i smutne rocznice w kalendarzu. Każda rewolucja tworzy najpierw własną prawomocność, historię, legendę. W rodzinnym Meksyku miała za sobą dziesięć lat walki, milion zabitych, heroiczną epopeję. Lud wierzył w Rewolucję. Ale pewnego październikowego dnia na placu Tlatelolco Rewolucja otworzyła ogień do ludu. Był rok 1968.

– Uwięziono pisarzy... Byłem wtedy w Paryżu i stamtąd napisałem list protekcyjny. Spotkałem się z Mariem Vargasem Llosą i Juliem Cortazarem, wspólnie zaprotestowaliśmy przeciw masakrze na Tlatelolco i aresztowaniu José Revueltas. Nikt nie mógł się oszukiwać – to już nie Rewolucja, to represyjny autorytaryzm.

Carlos Fuentes zwalnia opowieść. – Wie pan, kiedyś wszyscy w Ameryce Łacińskiej przyklasnęliśmy zwycięstwu rewolucji kubańskiej i dojściu do władzy Fidela Castro. Potem do rewolucji włączył się „czynnik zewnętrzny” – jak zawsze w historii Kuby. Kiedyś była kolonią hiszpańską, potem amerykańską, wreszcie sowiecką. Ale to Amerykanie utrzymali Castro u władzy przez tyle dziesięcioleci. Powiedziałem kiedyś prezydentowi Clintonowi: Gdyby nie wasza wrogość, władza Fidela rozsypałaby się jak zamek z kart wiele lat temu. To dzięki wam mógł przedstawiać się jako wódz rewolucji, wróg imperializmu i kubańskiego nacjonalizmu. Nikt nie ponosi większej odpowiedzialności za długie lata rządów Castro niż prezydenci Stanów Zjednoczonych, których przeżył!

Wiele lat temu Carlos Fuentes napisał powieść *Śmierć Artemia Cruz*. Jej bohaterem jest rewolucjonista i idealista, który dochodzi do władzy i u władzy korumpuje swoje ideały. Zapytałem Fuentesesa, czy we wzlocie i upadku Artemia Cruz wol-